

Okińczyc w Muzeum Narodowym w Poznaniu

Andrzej Jajszczyk

W niedzielę, 19 lutego 2012 roku, w Poznaniu ważne wydarzenie. Na tyle ważne, że decydujemy się z Basią na wymagające dużego samozaparcia skorzystanie z usług PKP by tam dotrzeć. To wydarzenie to otwarcie w Muzeum Narodowym w Poznaniu dużej wystawy prac Andrzeja Okińczycy — jednego z najwybitniejszych, a nieco niedocenianych polskich malarzy, urodzonego w 1949 roku w Poznaniu, absolwenta poznańskiej PWSP z 1973 roku. Trud podróży zdecydowanie się opłacił. Wystawa robi duże wrażenie. I od razu pierwsze zaskoczenie — nie ma na niej portretów, z których tak znany jest poznański artysta. Ale obejrzenie całości pokazuje, że był to trafny wybór.

W holu muzeum tłum ludzi. Udaje mi się w nim zobaczyć także paru dawnych poznańskich znajomych, w tym Julka Małeckiego, Jurka Byrta i jego brata Andrzeja (obecnie prezesa Targów Poznańskich). Spotykam także niewidzianego już od około czterdziestu lat Zdzicha Chełkowskiego, z którym działaliśmy w PTTK i któremu pomagałem organizować poznańskie festiwale piosenki turystycznej. O dziwo obaj szybko się rozpoznaliśmy. A wystawę zwiedzamy z naszymi poznańskimi przyjaciółmi — Grażynką i Piotrem Soszyńskimi. Witamy się oczywiście i z bohaterem dnia, czyli Andrzejem Okińczycem.



Łąka. 2001

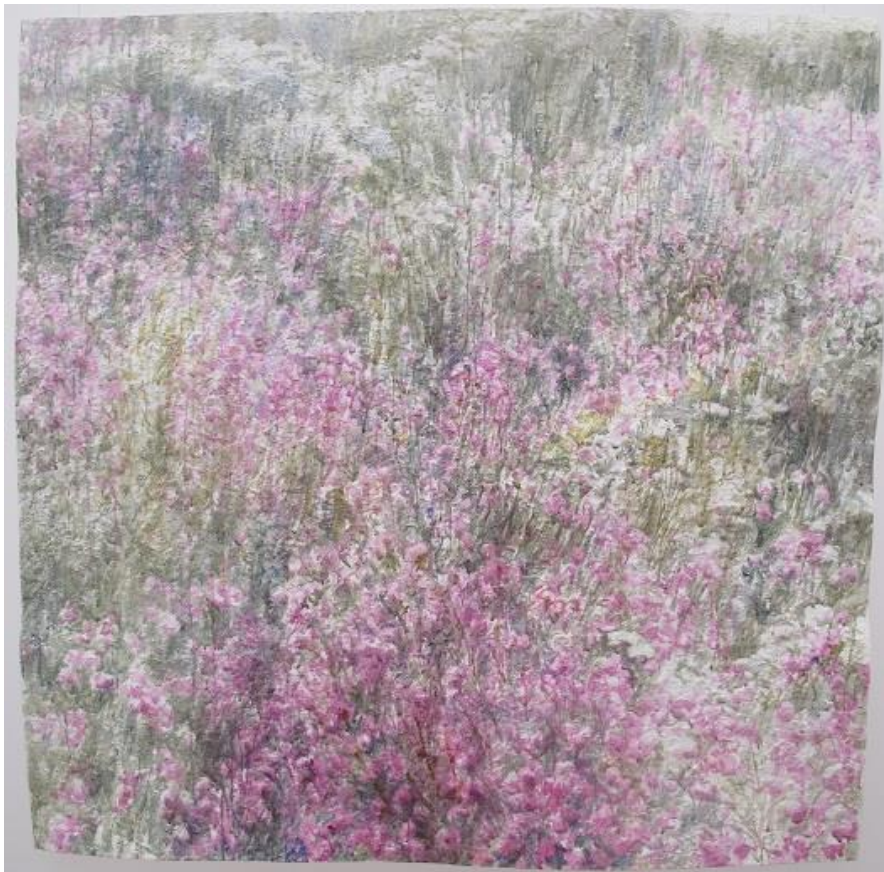


Od lewej: dyrektor Muzeum Narodowego w Poznaniu Wojciech Suchocki i Andrzej Okińczyc

Jeszcze przed oficjalnym otwarciem wystawy kupujemy piękny katalog. Starannie wydaną po polsku i angielsku księgę uzupełnia płyta DVD zawierająca materiały z aranżacji wystawienniczych wykonanych przez artystę.

Dłuższą, ale bardzo zgrabną przemowę na temat twórczości Andrzeja Okińczycy wygłasza dyrektor Muzeum Narodowego w Poznaniu prof. Wojciech Suchocki. Sam artysta jest w swojej wypowiedzi, jak zwykle, znacząco bardziej zwarty. Mówi po prostu: „powiedziałem to moimi dziełami, zapraszam na wystawę”. Tłum wlewa się powoli do sal ekspozycyjnych.

Cała wystawa składa się z czterech, a właściwie pięciu różniących się charakterem części, umieszczonych w trzech salach Muzeum Narodowego. Pierwsza to wielkie na ogół prace odwzorowujące fakturę przyrody, czy to ożywionej, jak łąki, lub martwej jak zastygła wulkaniczna lava.



Łąka. 2010. Widok z przodu i z ukosa

Uzupełniają to trzy widoki schodów znajdujące się, a także, przy schodach prowadzących do starego budynku muzeum. W mniejszym pomieszczeniu obok na dwóch ekranach odbywają się równoległe projekcje wideo dokumentujące wcześniejsze wystawy Andrzeja Okińczyca. Część trzecia to umieszczone w półmroku reliefy o jesiennych nastrojach. Obok, w tej samej mniejszej sali wiszą prace z serii draperii i zaston. Ostatnia sala to zainscenizowana plaża z pracami z cyklu „Parawany” uzupełniona o kilka wiszących na ścianach mniejszych prac artysty. Cechą wspólną wszystkich prezentowanych na wystawie obrazów jest postrzeganie trójwymiarowości bądź przez mistrzowski efekt uzyskany na całkowicie płaskim płótnie, bądź też przez staranne ukształtowanie podłoża.

Łąki, trawy i woda

Łąki, trawy i powierzchnia wody to tematy przewodnie pierwszego cyklu, który napotkaliśmy wchodząc na wystawę. Zdziwiała pracowitość z jaką wykonano te





Trawy II. 2010. Widok z przodu i z ukosa



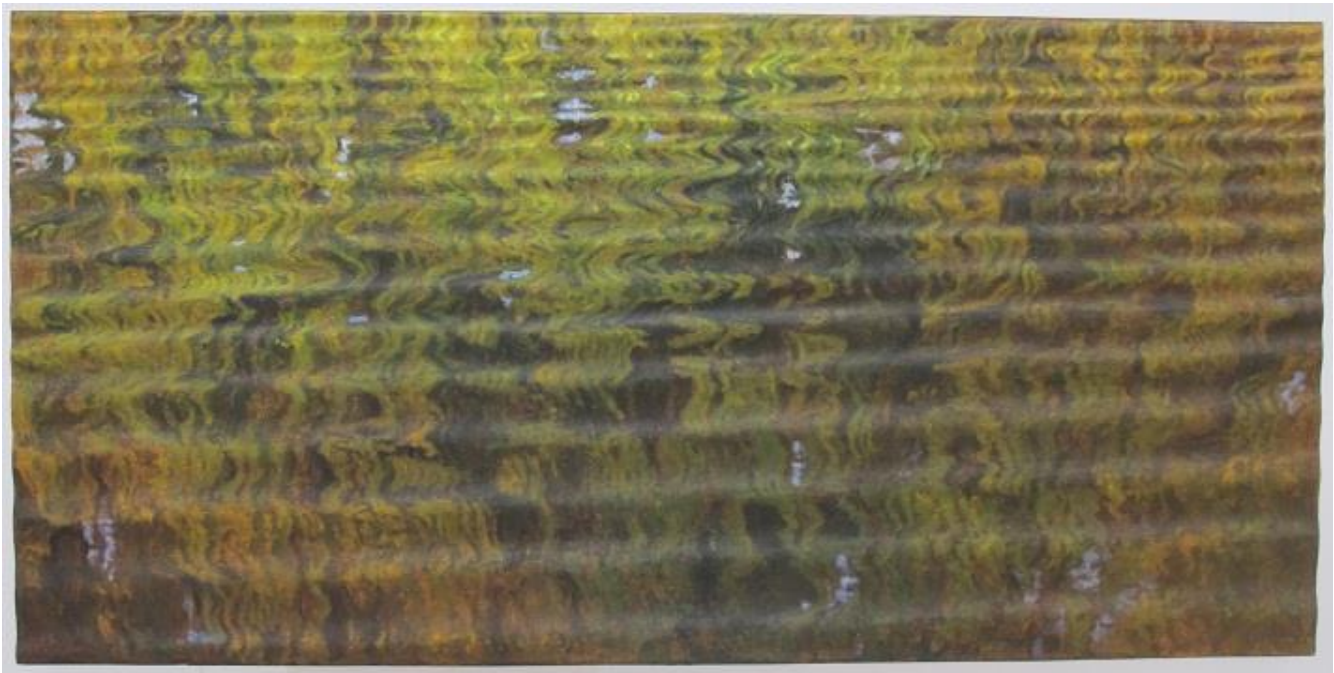
Trawy III. 2010. Widok z przodu i z ukosa



Trawy. 2011

wielkie na ogół prace. „Łąka”, powstała w 2001 roku, ma wymiar 172 × 247,5 cm, czyli jest mojej wysokości. Z bajeczną wręcz precyzją oddaje widok tysięcy trawek i kwiatuszków. Efekt akrylowej farby podkreśla pofalowana struktura podłoża, co dobrze widać na moim zdjęciu zrobionym z ukosa. Podobny efekt uzyskano w pracy o tym samym tytule z 2010 roku. Ta technika to *spécialité de la maison* Andrzeja Okińczyca. W epoce, gdy artyści potrafią tworzyć dzieło malarskie w kilka minut, ta dbałość o detal budzi wielki podziw. Oczywiście sam wkład pracy nie świadczy o niczym — można się napracować przy absolutnym kiczu. Ale to zdecydowanie nie jest ten przypadek. Ciekawe, że artysta przekracza tu granice gatunków. Jego praca to połączenie płaskiego malarstwa z trójwymiarową rzeźbą, tym samym różni się znacznie od dwuwymiarowych prac amerykańskich hiperrealistów (zwanych też *fotorealistami*). Co więcej, od hiperrealistów różni go tematyka ściśle związana z przyrodą.

Przekraczanie granic gatunków mamy tu i winnym wymiarze — realizm w prezentowanych pracach przechodzi tu w *de facto* abstrakcję. Widać to dobrze w niepokojących obrazach z cyklu „Trawy”, szczególnie w czerwono-czarnej pracy z 2011 roku.



Staw Beaty. 2001

Majstersztykiem iluzji jest „Staw Beaty” z dosyć regularnie pofalowanym podłożem. Podobny temat podjęto w pracy „Woda” z 2003 roku. I znów zabawa z trzecim wymiarem, zniekształconymi w pofalowanej wodzie wodorostami i światłem. Trochę drażni mnie tu nasuwające się skojarzenie z nenufarami Moneta, chociaż tak naprawdę związek jest tylko w mojej wyobraźni.

Woda nie pierwszy raz jest przedmiotem sztuki. Ale często przybierała postać groźnych morskich fal jak



Staw Beaty. 2001



Woda. 2003

u Iwana Ajwazowskiego czy Josepha Mallorda Williama Turnera. Była też elementem większych kompozycji, jak u wspomnianego już Claude’a Moneta i bardzo wielu innych. Okińczyc wpatruje się w nią jednak inaczej. Interesuje go jako źródło przekształcenia widoku znajdujących się w niej roślin. Jest też pewnie wyzwaniem dla malarza pragnącego uchwycić na nieruchomym obrazie jej trudną dynamiczną plastykę.



Na pierwszym planie *Lawa*. 2005. Obok Basia Jajszyk i Julek Małecki



Lawa i schody

Abstrakcyjny charakter prac jest coraz bardziej widoczny w cyklu *Lawa* (ale i hiperrealiści znaleźliby tu coś dla siebie). Prace te powstały w 2005 roku. Jedna z nich ma prawdziwie monumentalną długość trzech metrów. Tu też gra z tworzywem. Odpowiednio ukształtowane podłoże wraz z akrylowymi farbami imituje rzeczywistą zastygłą lawę. Tu hiperrealizm naśladuje abstrakcyjnie wyglądającą naturę. Specjalny, i bardzo udany, efekt uzyskano przez powieszenie niektórych dzieł na tle półprzezroczystych tkanin, oddalonych od ścian muzeum. Nie obyło się przy tym bez kłopotów, gdy w dzień poprzedzający wystawę wielka „Lawa” spadła na ziemię i wymagała pilnej interwencji artysty.



Od lewej: *Lawa 3*, *Lawa 1*, *Lawa 2*. 2005



Schody II. 2011



Schody I. 2011



Schody III. 2011

Wielkie prace z „wulkaniczną” fakturą przypominają mi monumentalne obrazy Anselma Kiefera, które widziałem w kilku galeriach na świecie, ale największe ich zgromadzenie na wystawie w *San Francisco Museum of Modern Art*: „Anselm Kiefer: Heaven and Earth”, którą widziałem pod koniec 2006 roku.

Podobną do „lawy” fakturę mają „Schody II”. Najbardziej jednak podobają mi się „Schody I”. Podobnie jak w innych prezentowanych w tej sali pracach malarskie ujęcie trójwymiarowości jest wzmacniane ukształtowaniem podłoża obrazu. Najmniej przekonujące są dla mnie „Schody III”, które paradoksalnie najlepiej wpisują się

w estetykę współczesnego malarstwa. Może dlatego, że tak odbiegają od innych prac prezentowanych na wystawie. Trzeba przyznać, że Andrzej Okińczyc podszedł do malowania tego obrazu jak zwykle poważnie, wcześniej testując efekt przez wylanie dwóch kanistrów wody na schodach poznańskiej Cytadeli.



Jesienne reliefy

Wyjątkowo duże wrażenie robi na mnie cykl pięciu półkoliście ustawionych prac. Pionowe płyty stoją przy leżących na podłodze czarnych taflach pokrytych szkłem, układem przypominając nieco nagrobki. Myślę, że to niezbyt przyjemne skojarzenie świetnie jednak uwypukla charakter dzieł, w połączeniu z panującym w tej części sali półmrokiem i efektem odbicia w wypolerowanych taflach.

Od lewej: *Hibernacja II*, 2004, *Przesłona*, 2005, *Hibernacja I*, 2004



Pełnia. 2005



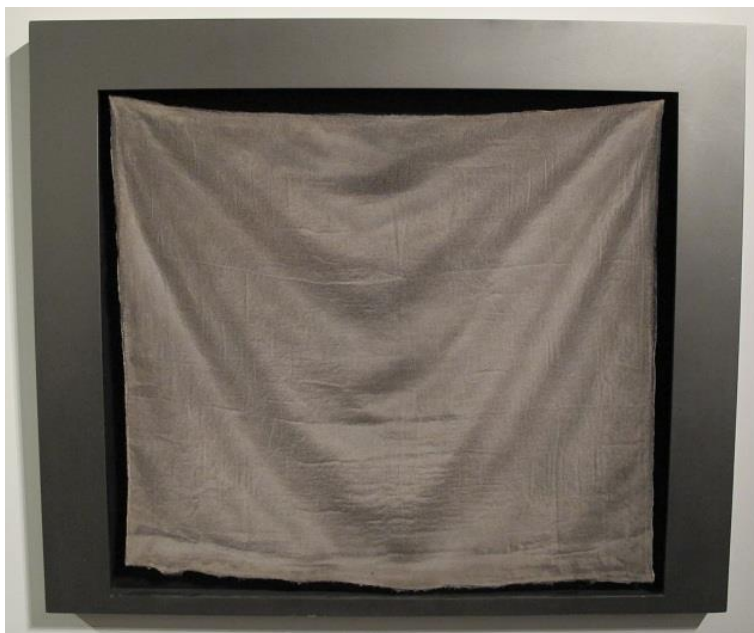
Hibernacja II. 2004

Draperie

Obrazy naśladowujące luźno zwisające tkaniny to jedna ze specjalności Andrzeja Okińczyca. Trzeba przyznać, że robi to znakomicie. Iluzja przestrzeni w płaskich obrazach, jak na przykład w *Draperii* z 2006 roku pokazanej obok czy *Draperii IV* z roku 2004, jest całkowita. Ale są i prace, w których poświadczane jest samo podobrazie. Wymieszanie jednych i drugich stanowi dobrą okazję do porównania podobnych efektów uzyskanych różnymi technikami i refleksji nad zawodnością ludzkich zmysłów. Część prezentowanych draperii widziałem już wcześniej na krakowskiej wystawie Andrzeja Okińczyca w *Arsenale Muzeum Książąt Czartoryskich* w grudniu 2003 roku. Draperie, szczególnie te ciemne bądź noszące na sobie znamiona upływającego czasu w postaci dziur i postrzępień, wprowadzają też w eschatologiczny nastrój i przywodzą mi wspomnienie wspaniałej wystawy „Vanitas: portret trumienny na tle sarmackich obyczajów pogrzebowych”, którą widziałem pod koniec 1996 roku w tym samym gmachu Muzeum Narodowego w Poznaniu. Może obecne draperie, kurtyny i przesłony to także owoc fascynacji



Draperia. 2006



Draperia IV. 2004



Przesłona VII. 2007

autora tamtą wystawą? Swoją drogą te bardziej mroczne draperie mogłyby się wpasować tylko we wnętrza o bardzo specyficznej funkcji. No i oczywiście w galerii sztuki i muzea.

Natomiast białą draperię z 2006 roku pokazaną poniżej, jako miłośnik minimalizmu, chętnie powiesiłbym sobie we własnym domu czy na pustej ścianie mego gabinetu w Narodowym Centrum Nauki. Ale gdybym ją kupił dla NCN, pewnie zostałbym szybko oskarżony o niegospodarne wydawanie publicznych pieniędzy ☺.



Kurtyna V. 2003

Parawany

Cykl „Parawany” wystawiany w głównym holu starego budynku Muzeum Narodowego stanowi jakby pogodną wersję wcześniej omawianych draperii. Tu też zabawa z iluzją. Nie jest do końca jasne, czy efekty przestrzenne są wyłącznie efektem malarskim, czy też wynikają z ukształtowania podłoża. Wrażenie autentyczności pogłębiają poprzewieszane części garderoby, w tym kostiumy kąpielowe. Patrząc na te plażowe



Draperia. 2006

parawany ze szczególną przyjemnością, ponieważ kilka lat temu widziałem ich powstawanie w pracowni Andrzeja.

W tej samej sali wisi też kilka prac, jak „Skala 1:6 I”, które mniej mi się podobają. Drażni mnie połączenie granatowego ze złotym, a same prace sprawiają wrażenie tandetnej dekoracji. Ale to oczywiście tylko bardzo osobiste wrażenie.

Aranżacje wystaw

Andrzej Okińczyc jest też twórcą aranżacji wielu wspaniałych wystaw. Dokumentacja filmowa niektórych z nich jest prezentowana w mniejszej



Basia za parawanem

salce równocześnie na dwóch ekranach. Rozpoznaję tam też wystawy, na których byłem osobiście, w tym dużą i znakomitą wystawę Jerzego Nowosielskiego w Muzeum Narodowym w Poznaniu w 1993 roku. Wtedy, tak naprawdę po raz pierwszy, zobaczyłem większy zbiór prac tego artysty (jeszcze więcej mogłem zobaczyć dziesięć lat później w *Zachęcie* na wystawie zorganizowanej przez Andrzeja Starmacha).

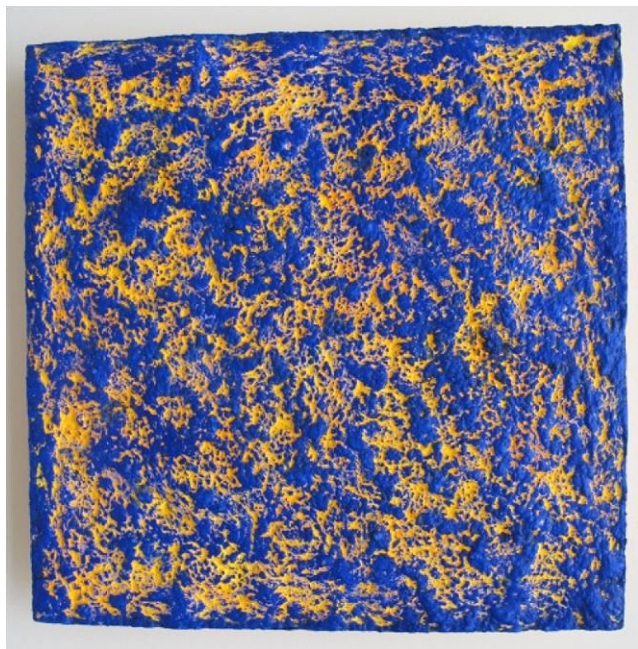
Dekoratorzy kontra publicyści

Andrzej Okińczyc jest artystą, który uprawia malarstwo, można by powiedzieć, klasyczne. Malarstwo dla samego malarstwa. Interesuje

go odwzorowanie rzeczywistości w dzieło sztuki, a także eksperymentowanie z technikami malarskimi, w tym takimi z pogranicza rzeźby. To szlachetna i wielowiekowa tradycja. Tradycja jednak coraz bardziej wypierana przez twórców, dla których malarstwo nie jest po prostu celem samym w sobie. Liczy się bardziej opowieść czy idea, a czasami wręcz skandal. Ci, których nazywam po prostu „publicystami” często nie przywiązują wagi do techniki malarskiej, tworzą szybko i bez



Od lewej: Andrzej i Basia Jajszczykowie oraz Grażyna i Piotr Soszyńscy.
W tle: *Parawan II*. 2007



Skala 1:6 I. 2006

dbałości o szczegóły. Niekiedy po prostu nie umieją malować. Z lekceważeniem podchodzą do solidnych malarzy, w ich mniemaniu „dekoratorów”. Muszę przyznać, że „ładne” malowanie jest zresztą trudne — łatwo jest tu niepostrzeżenie osunąć się w stronę kiczu. „Publicyści” do twórczości dorabiają ideologię — zdarza się, że dosyć luźno pasującą do ich prac. Miałem ostatnio takie wrażenie patrząc w łódzkim *Atlasie Sztuki* na prace Tatiany Czekalskiej i Leszka Golca przedstawione na wystawie pt. „Contract Killer”, gdzie świetne skądinąd fotografie nijak się moim zdaniem miały to hasła obrony praw zwierząt głoszonych w opisach wystawy. Ale i wśród opisywanych wcześniej twórców są oczywiście znakomitości, zarówno pod względem oryginalności przesłania jak i profesjonalizmu warsztatu. Do takich zaliczam na przykład znanych polskich artystów: Wilhelma Sasnała czy Marcina Maciejowskiego. Nie wspominam tu o twórczości

artystów eksperymentujących z multimediami, bo to temat na odrębny esej.

Zapytałem nieco prowokacyjnie Andrzeja Okińczyca, w czasie jego wernisazu, czy nie widziałby dla siebie szansy wizerunkowej przemalowując pogodne parawany na szaro i ozdabiając je na przykład drutem kolczastym. Andrzej zdecydowanie się obruszył stwierdzając, że nigdy nie pójdzie w kierunku skandalizowania po to tylko by lepiej sprzedawać swoje obrazy. A przecież, gdyby Sasnał czy Mirosław Bałka nie poszli śladami Luca Tuymansa i w swoich pracach nie nawiązywali do *Holokaustu*, nie wiadomo czy ich dzieła trafiłyby do prestiżowych galerii świata. (Przyznaję, że gdy zobaczyłem w 2008 roku w warszawskiej *Zachęcie* wystawę Tuymansa „Idź i patrz”, to z zaskoczeniem odkryłem, kto był źródłem inspiracji Sasnała).

Muszę powiedzieć, że nie mam wyraźnej preferencji ani dla „dekoratorów”, ani „publicystów”. Lubię prace zarówno tych pierwszych i drugich, chyba jednak ze wskazaniem na tych ostatnich. Publicystyka bywa po prostu ciekawsza. Rację ma pewnie Masza Potocka, dyrektorka MOCaKu, że ludzi umiejących malować, często nieźle, jest mnóstwo. Niewiele jednak z nich można uznać za artystów. Jak zresztą z rozbijającą szczerością przyznaje, w jednym z ostatnich wywiadów, o tym kto jest artystą, a kto nim nie jest decydują arbitralnie szefowie galerii. Trochę niepokojąca jest ta ich ogromna władza. Chciałbym też wierzyć, że to nie tylko dyrektorzy mają ostatnie słowo, a raczej samo dzieło.

Nie mam jednak wątpliwości, że wystawa Andrzeja Okińczyca i znajdujące się na niej prace są znakomite. Warto było jechać.

Tekst i zdjęcia (poza oznaczonymi):
Andrzej Jajszczyk

Kraków, 15.03.2012



Od lewej: Andrzej Jajszczyk, Andrzej Okińczyk, Wojciech Suchocki. Fot. Basia